

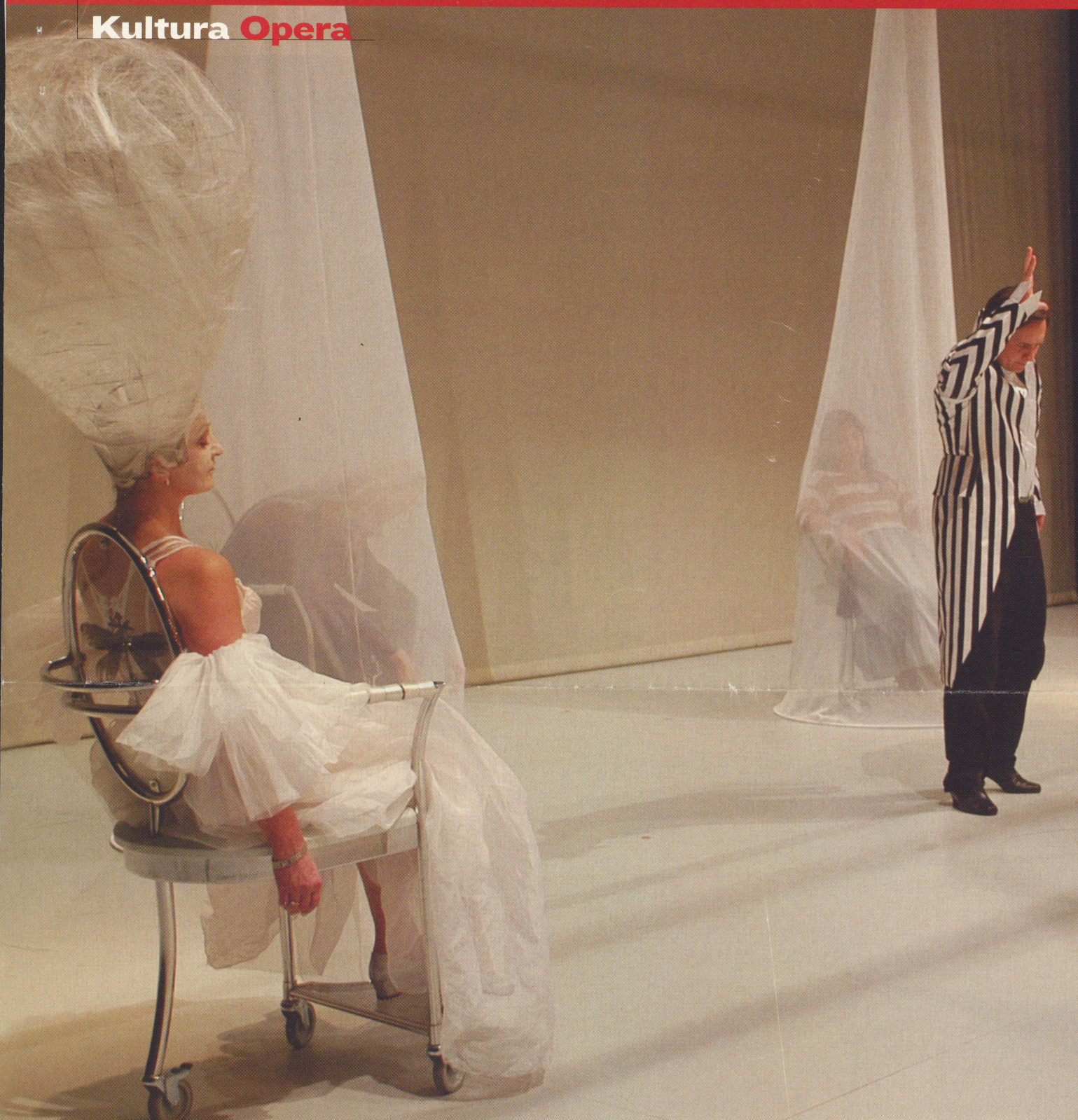
665 EU
3
Newsweek Polska

WARSZAWA

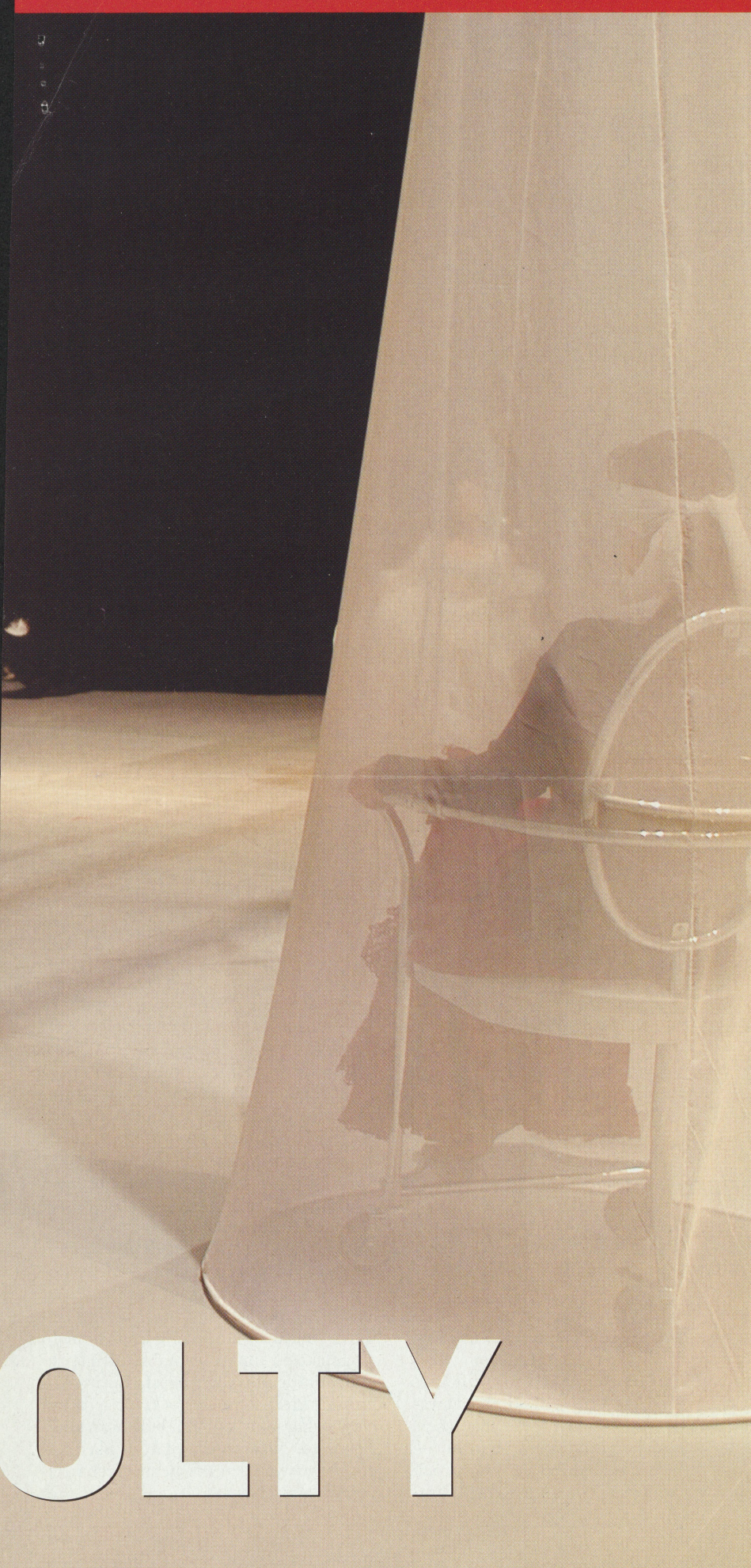
T. Nr 11

14-03-2004

Kultura Opera



Ogień Rew



Mariusz Treliński nakręcił trzy filmy, które przeszły bez echa. Kiedy zaczął reżyserować ope- ry, na jego punkcie oszałał świat.

MAGDALENA ŁUKASZEWICZ

Nie cierpiał opery. Mierziły go grubo upudrowane, tkwiące nieruchomo na scenie primadonny i nadekspresyjne gesty solistów. Miał mdłości na widok kartonowych dekoracji, malowanych ciężką ręką pałaców, ogrodów i morskich fal. – To wszystko było nudne i przeraźliwie sztuczne – opowiada 43-letni Mariusz Treliński.

Dziś ten zdeklarowany przeciwnik kołturnowego sztywniactwa przygotowuje już siódmą operę: spektakl „Andrea Chénier” do muzyki i libretta Umberto Giordano. Polska premiera 12 marca w poznańskim Teatrze Wielkim. Pół roku później, w trzecią rocznicę ataku na World Trade Center, spektakl trafi na deski Opery Wasyngtońskiej, kierowanej przez Plácido Domingo.

Jak twierdzą najbliżsi współpracownicy Dominga, maestro zapowiadał jeszcze przed obejrzeniem prób (do Polski przyleciał 7 marca), że „Andrea Chénier” w reżyserii Trelińskiego będzie największym wydarzeniem operowym tego roku na świecie. Domingo osobiście ustalił termin amerykańskiej premiery widowiska. Według słynnego tenora 11 września jest najlepszą datą premiery spektaklu traktującego o terrorze.

Dziś Treliński zajęty jest poznańską inscenizacją. Jak szalony uwija się między sceną, szwalnią i pracownią scenografów. Na pytania „Newsweeka” odpowiada w biegu, bo jak wyjaśnia: – Mam syndrom napięcia przedpremierowego.

Widać, że rozpiera go energia. Staje przed chórem, by konsultować kolejną partię, a po chwili już wpada na scenę i demonstruje śpiewakom, w jaki sposób mają zagrać scenę śmierci głównego bohatera. Wszystko dzieje się jak na przyspieszonym podglądzie na domowym wideo. Na scenę wjeżdża potężna, obsypana złotym broka-

FOT. PIOTR SĄDURSKI

OLTY

►tem harfa. Treliński zostawia solistów i podbiega do scenografa Borisa Kudlicki. - Ta harfa musi być cieńsza, zrób to na jutro - rzuca do scenografa. Zeskakuje ze sceny i siada na jednym z foteli pośrodku widowni. Szczupły, ubrany w sportowe, modne spodnie i dresową bluzę, co chwila poprawia niesforne włosy. - Kochani, zaczynamy próbę. Czy orkiestra jest gotowa? - woła głośno.

Zapada cisza. Na scenę wchodzi artyści w śnieżnobiałych strojach i wysokich na metr perukach, wykonanych z ażurowej tkaniny. - Przedrewolucyjna arystokracja. Wyprana z uczuć, więc wyprana z barw - szeptem tłumaczy mi Treliński. - Zobaczysz, to fascynująca opowieść, w Polsce mało znana, bo ostatni raz wystawiano ją u nas ponad czterdzieści lat temu - dodaje.

Akcja spektaklu rozgrywa się w czasie rewolucji francuskiej w roku 1789. Jej bohater, tytułowy Andrea Chénier to postać autentyczna - romantyk, żołnierz i rewolucjonista. Dla wielu Francuzów do dziś jest uosobieniem bezkompromisowości. Chénier bacznie przyglądał się rewolucji, nie wierzył ślepo w rozgłaszane podówczas ideały wolności, równości i braterstwa - lecz odważnie krytykował narastającą spiralę rewolucyjnego terroru. Kontestację przypłacił życiem, ale dzięki temu stał się legendą, w dodatku nie tylko dla swoich rodaków. - Podczas stanu wojennego polscy więźniowie polityczni podpisywali swoje grypsy „Chénier”. Był dla nich ideałem, bo jak oni walczył z totalitaryzmem - szepcze Treliński.

I choć reżyser zarzeka się, że nie interesuje się polityką (która go „brzydzi”), jego opera komentuje współczesność. Wystarczy spojrzeć na monumentalną scenografię. Z wysokiej na pięć metrów czarno-czerwonej mównicy płyną długie, wyśpiewywane tyrazy. Oto wymarzone miejsce dla obłąkanego totalitarnego watażki, ale i dla zasłuchanego w swoje puste trele demokratycznego parlamentarzysty. - Chcę pokazać, że ludzie walczący o idee łatwo stają się tyranami na wzór tych, których właśnie obalili - tłumaczy Treliński.

- Ustalmy wreszcie, w jaki sposób ten Chénier ma upadać, bo podobno znowu ci się zmieniła koncepcja - przerywa rozmowę choreograf Emil Wesolowski. Po chwili podchodzi do nas scenograf Boris Kudlicka, za nim Felice Rose, specjalistka od oświetle-



nia i Danuta Grochowska, asystentka reżysera. Kolejna szybka narada. Cała gwardia przyboczna Trelińskiego w komplecie. Bez niej reżyser w ogóle nie zabiera się do pracy nad operą. „Andrea Chénier” jest już ich siódmą wspólną realizacją. Po krótkich ustaleniach Treliński wraca do nas i tłumaczy: - Otaczam się ludźmi, którzy są wielkimi artystami i z którymi rozumiem się w lot.

Docenił to Placido Domingo, szef dwóch amerykańskich oper, w Waszyngtonie i Los Angeles. Gdy w roku 1999 zobaczył na taśmie wideo „Madame Butterfly”, operową realizację Trelińskiego, natychmiast zaprosił reżysera wraz z jego spektaklem do Stanów. Miał nosa. „Operowy wizjoner” - napisał o Trelińskim „New York Times”, nazywając jego spektakl „znakomitą, zapierającą dech w piersiach inscenizacją”. O „eksplozji świeżości” rozpisywał się recenzent „USA Today”. „Rewolucjonista!” - krzyczał krytyk „Los Angeles Times’a”. Takimi pochwałami obsypało inscenizatora kilkanaście amerykańskich opiniotwórczych pism.

Jak Treliński tego dokonał? Przewrócił operową konwencję do góry nogami. Pra-

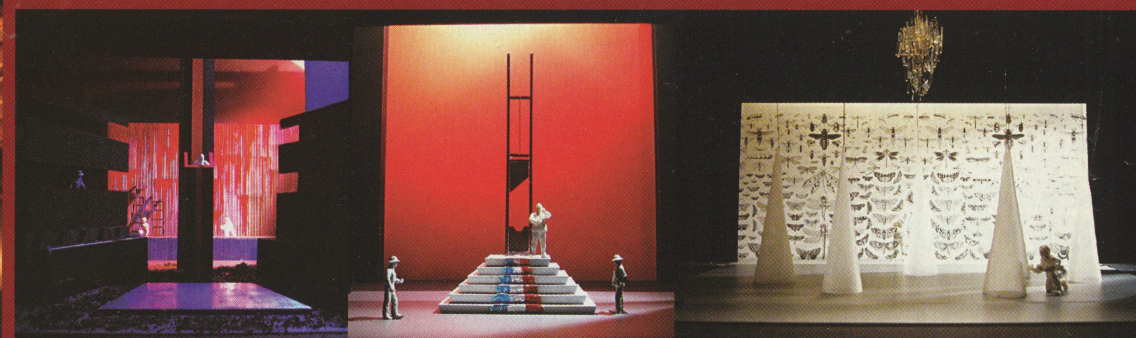
wie dosłownie - bo śpiewaków współpracę z Trelińskim zmusza do porzucenia wszystkich przyzwyczaję. Pod okiem reżysera soliści muszą zapomnieć o dostojnym wchodzeniu na scenę, statycznym odśpiewaniu swojej partii i monumentalnym wyjściu. Do każdego spektaklu muszą opanować nowy zestaw gestów. Koniec ze sztuczością - każdy z nich musi grać ciałem i mimiką twarzy, niczym współcześni aktorzy filmowi. No i przede wszystkim od nowa uczyć się... śpiewać.

Bo o ile wcześniej mogli wykonywać swoje długie partie na stojąco, teraz zmuszani są do pracy w ekstremalnych dla nich pozycjach. Najpierw protestują, że nie da się zaśpiewać, leżąc albo biegając. Albo mając na głowie worek skażenka tuż przed egzekucją. Jednak po wielu próbach przekonują się, że to możliwe.

Dzięki tym reżyserskim zabiegom jego opery nabierają dynamiki i nieomal teledyskowego tempa. Ale, by nie rozsadziły tradycyjnej operowej scenografii, sprytny Treliński dobrał sobie równie kreatywnego specjalistę od „opakowania” swoich spektakli: słowackiego scenografa Borisa Kudlickę. - Precz z tradycją - krzyczą do widzów dekoracje Kudlicki, budowane najczęściej z ogromnych płatów plastiku, jednobarwnych tkanin i metalowych rusztowań. Postaci żwawo ruszają się po sce-

„Andrea Chénier” ma szansę stać się największym tegorocznym wydarzeniem operowym na świecie

PLACIDO DOMINGO



SCENOGRAFICZNA PRECYZJA Borisa Kudlicki sprawia, że dla widza opera „Andrea Chénier” w reżyserii Trelińskiego staje się ruchomą galerią perfekcyjnie skomponowanych obrazów

LIDER OPEROWEJ REWOLTY

43-letni Mariusz Treliński jest stanowczy i wymagający, ale przy tym to artysta obdarzony niezwykle poczuć humoru i dystansem do własnej pracy

nie, oświetlonej migotliwie przez kolejną stałą kooperantkę przedsięwzięć Trelińskiego, Felice Rose – amerykańską specjalistkę od teatralnego oświetlenia, która kilka miesięcy w roku spędza na pracy w Polsce.

I nawet kiedy czasem przed publicznością na kilkuset metrach kwadratowych porusza się naraz dwustu śpiewających aktorów, na scenie panuje idealny porzą-

dek. – Dla Mariusza najważniejszy jest rytm – twierdzi Danuta Grochowska, asystentka reżysera.

Plácido Domingo po sukcesie „Madame Butterfly” natychmiast zaproponował polskiemu reżyserowi kolejny projekt, ale ten odmówił. – Byłem wykończony, musiałem odpocząć. Nie chciałem stać się maszyną do tworzenia oper na zamówienie – wspomina Treliński. Domingo, któremu nikt wcześniej nie odmówił współpracy, nie uniósł się dumą. Więcej – stwierdził, że jest zainteresowany wszystkimi projektami operowymi, które chodzą po głowie Trelińskiemu. Zeszły sezon pokazał, że to nie były popremierowe, kurtuazyjne deklaracje: Treliński wystawił w Los Angeles przyjętego entuzjastycznie „Don Giovanniego” Mozarta, a w Berlinie „Damę Pikową” Piotra Czajkowskiego. W tej ostatniej operze Domingo zaśpiewał główną męską rolę – Hermanna.

Dzięki takim hitom Mariusz Treliński jest dziś na operowym dachu świata i nie zanosí się, by szybko miał z niego spaść.

Aż dziw bierze, że z filmami reżyserowi nie poszło równie dobrze. Treliński debiutował w roku 1990 obrazem „Pożegnanie jesieni” według powieści Witkacego, któ-

ry pokazywał na festiwalach filmowych w Europie i Stanach. Potem nakręcił melancholijny obraz „Łagodna” (1995), ekranizację prozy Fiodora Dostojewskiego. Swoją ostatnią film zrobił cztery lata temu. Ale tak jak poprzednie dwa, również „Egoiści” (2000) – opowieść o współczesnych polskich yuppies, którzy zażarcie walczą o karierę i pieniądze – nie stał się komercyjnym sukcesem. Mimo wszystko reżyser zapowiada: – Wracam do filmu. Jeszcze w tym roku zacznę zdjęcia do „Balladyny” według Juliusza Słowackiego. Lubię płodozmian.

Jednak na razie Treliński nie ma czasu na kombinowanie, w jaki sposób uporać się z przeniesieniem na ekran dramatu wieszczą. Do premiery „Andrea Chénier” zostało zaledwie kilka dni. Emocje gwałtownie rosną. – Z minuty na minutę Mariusz będzie biegał między sceną a widownią jeszcze szybciej. Im bliżej godziny zero, tym ma większą nerwicę – śmieje się Grochowska. – Ale przecież nie pokazuję tego po sobie – słyszymy głos Trelińskiego. Odwracamy się. Stoi za nami. Hm! A jeszcze przed sekundą był na scenie. ■

Współpraca Katarzyna Gronowska